



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół, kwartał. tal. pr. 2 sgr. 20.

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dokończenie).

W przyszłości czuł się on już, prawem krwi, Wojewodą Wileńskim, hetmanem może, królikiem Litwy. Życie naówczas jeszcze tryskało z tej twarzy, z oczu ciemnych, śmiało się na różowych ustach; ale czoło było, jak niezapisana tablica, bezmyślne i puste.

Równie młody, skromniejszy nieco, lecz do humoru przyjaciela nastrojony, Pac, Podstoli Litewski, dobrany mu był do tej podróży za towarzysza. Obaj oni na pogrzebie mieli rodzinę przedstawiać.

Jechał książę Karol do Białej już, jako do swego dziedzictwa, w którym się czuł panem, wcale się nie troszcząc o wdowę, której rodzina zdawna nie lubiła, przypisując jej złowrogie zamiary zagarnięcia im majątności.

Wiedzano już przez Wolskiego, że testamentu nie było. Wolski, przyjęty łaskawie, razem z księciem Karolem, w orszaku jego powracał, lecz po drodze już nauczył się pokory i jechał z wózkiem na końcu, rad, że mu się i tu przyczepić dozwolono. Bezkarności był pewien; nagroda stawała się wątpliwą. Hetman Rybeńko nawet go do ucałowania stóp nie przypuszczał.

W rynku orszak księcia miecznika ustawił się

niec pokazniej, na wjazd uroczysty do zamku. Tu już przez posłańca, zrana wyprawionego, wiadzano o przybyciu młodego pana. Oczekiwał nan Wojewoda Czerniechowski, książę biskup Ptolemaidy i wszystka starszyna dworu.

Czoło miecznika, przy wjeździe na zamek wcale się nie zasepiło.

— Jak myślisz, podstoli—odezwał się zbliżając ku wieży—czy pod zamkiem są piwnice ze starym winem? Chorąży dawał często lurę, boję się byśmy przy stypie się nie potruili.

— Zaś!—odparł śmiejąc się podstoli. — Dla gości dawali kwas, ale książę dla siebie miał „Sierotkę“.

— Wydoim Sierotkę do kropli! — rozśmiał się książę Karol,—wydoim, Panie kochanku!

Właśnie wyrazów tych domawiał, gdy powóz stanął u wielkiego zamku, gdzie czekali na księcia. Miecznik usiłował minę sobie uczynić poważną, co mu się nie bardzo udało.

Roztargniony, odpowiedział biskupowi coś niezrozumiałego, a Wojewodzie się skrzywił.

Przyzwitość kazała pójść z kondolencyą do wdowy, i Pac, niedarmo mu dodany, wymógł na opierającym się, iż z nim poszedł do niej. Był to raz pierwszy i ostatni.

Lekceważono sobie księżną i jej rodzinę.

W grubej żałobie, razem z księżną krajczyną i siostrą swą, przybyła z Zawieprzyc, księżna chorążyna przyjęła młodego księcia, który z dosyć lekceważącą grzecznością, ledwie jakiś komplement jej powiedziałszy półgębkiem, natychmiast zabrał się do odwrotu.

Pokoje po nieboszczyku paradne stały dlań przygotowane.

Miecznik, co prędzej, zgłodniałym będąc, jak mówił, jeść dawał kazał i piwniczego wołać:

Stojącemu w progu staruszkowi rzekł z góry:

— Pamiętaj, by mi dobre wino było! i nie śpij,

bo ja piję dużo i ludzi poję, a czekać nie lubię, panie kochanku.

I rozśmiał się, odprowadził go precz.

Co się dalej działo i dzieć miało czasu pogrzebu, łatwo się z tego początku domyślić. Ceremonie, jak dla Radziwiłła przystało — nakazano z wielkim przepychem urządzić, a niczego nie żałować. Książę biskup był do tego upoważniony, Miecznik zabawiał się, a Podstoli Pac pilnował go tylko, aby na nabożeństwo i gdzie prezencya jego była potrzebną, nie chybił.

O księżnie chorążynie tak zapomniano, jakby jej tu wcale już nie było. Nikt o nią nie spytał, nie uszanował jej, nie pomyślał, czy na czem nie zbywało. Z wielkim kłopotem resztki od stołu Miecznika, wykradały dla niej służące. Biedna ofiara zalewała się łzami, a ojciec chodził posępny i przybity. Tak mu się opłaciło jego dworowanie Radziwiłłom i dziecku starcowi dane—w niewolę.

Późno w noc, w sali przy pokojach księcia Miecznika słychać było, nawet we dnie pogrzebu—śmiechy huczne, tłuczenie kielichów i śpiewy wcale nie żałobne.

Ze zgrozą doniosła krajczyną chorążynie, że dwie panny z fraucymeru znikły. Nie chciała mówić gdzie się podziały.

Tymczasem w kościele exorty głosiły światu wielkie cnoty nieboszczyka i żal, jaki serca rodzinny rozdzierał, a całą Rzeczpospolitą kirem okrywał.

Ostatnie śpiewy i mowy przebrzmiewały, na górze w zamku dopijano Sierotek—gdy wieczorem jednego dnia zameldowano księciu, że się do niego gwałtem szlachcic jakiś dopraszał.

Miecznik niekoniecznie lubił dawać posłuchania, słuchać skarg i rozmowę prowadzić, w którą ani żartu, ni śmiechu wtrącić nie było można.—Chciał na Paca zdać naprzód tego petenta, lecz nim się to rozwiązało, zuchwały człek wcisnął się i stał już u progu.

Był to Mareyan Butrym, który, spojrzawszy na stół i butelki powypróżniane, na rozweselone twarze, na samego księcia Miecznika, — tem śmieiej przystąpił.

Naprzód—przyszedł mu się do kolan pokłonić.

— Mości książę, ja do was, jak do opiekuna i ojca przychodzę — rzekł — Litwin jestem, a Radziwiłłowie nad Litwą całą mają opiekę. — Ratuj!

— Coś za jeden? panie kochanku? — zapytał Miecznik, trochę pochlebstwem odobruwany.

— Byłem podłowczym niegdyś u nieboszczyka, i, niechwaląc się, choć kto inny z tego sławę wziął, ja to urządziłem owe łowy dla króla.

— Toś zuch! — rzekł książę — dam ci miejsce u mnie.

— Nie gardzę łaską waszej książęcej mości, alem ja tu z większą supliką — książę! dobrodzieju! łaskawco! Wy tu sobie spoczywacie po żałobnych trudach, nieboszczyk już na sądzie bożym, a pod nogami waszymi, w lochach, kto wie, ilu niewinnych jęczy.

Więzienia pełne — nie oskarżam chorążego — ale miał takich, którzy go okrutnym czynili. Więcej tu ich Wolski posadzał, więcej z łaski jego pogniło, pomarło, niż z dekretu nieboszczyka.

Mości książę, czas-by tych nieszczęśliwych wyzwolić — ja tam też brata mam, który za nienawisć, jaką Wolski do niego miał, pokutuje. Ludzie błogosławić cię będą, książę! ratuj!

I do nóg mu upadł.

Miecznik spojrział na Paca. Obaj weseli, podoboczeni byli, w tem usposobieniu wspaniałomyślnem, które do dobrych uczynków pobudza. Oprócz tego niechęć do nieboszczyka, którą Miecznik wziął od ojca, skłaniała do łaskawości dla tych, których on męczył.

— Możeż to być? — zapytał Pac.

— Więzienia pełne, nie kłamię, można klucznika zawołać. Są tacy, co po lat dwadzieścia świata Bożego nie widzieli, a niejeden za to cierpi, że przechrzcie nóg nie lizał.

Pac wstał. — Ale, jak Boga kocham — zawołał — książę powinienes kazać więzienia otworzyć!

Miecznik siedział zamyślony.

Stał przed nim kielich Sierotki, który wypróżniwszy, stuknął nim o stół.

— No — to chodźmy — zawołał — ja to na oczy moje chcę widzieć.

— Jakto? teraz? — wahając się — zapytał Pac — ale noc już.

— Właśnie, mości książę, po nocy lepiej ich wypuścić, we dnie nadto ludzi zbieży się patrzeć.

— Ma słusność, panie kochanku — dodał Miecznik — no — i ciekawe mieć będziemy widowisko.

Ruszył się iść. Pac go nie hamował, a Butrym biegł, pytając: czy ma prowadzić?

— Prowadź, ale słuchaj, panie kochanku, łowczym jesteś: postaw-że nas tak, abysmy tę osobliwą zwierzynę dobrze widzieli.

Butrym chciał iść przodem; zatrzymał go Miecznik.

— Ciemno jest — rzekł. — Każ zapalić kilka pochodni. Panie kochanku, słowo daję, to będzie widowisko ciekawsze, niż komedia, którą nieboszczyk chorąży w Słucku dla Księcia Kurlandzkiego wyprawiał.

— I książę — dodał Pac — dobroczynnego sobie zyskasz imię.

— Chodźmy — panie kochanku!

Przodem, jak piorun, ku bramie i do izby klucznika, leciał Butrym. Pochwycił Kolibę za oba ramiona.

— Zbóju, klucze! książę Miecznik idzie sam tu! Wszystkich więźniów uwolnić! Rozkaz jego! Jeżeli jeden zostanie — głowę dasz!

Koliba nie chciał wierzyć, gdy w oknie ujrzał ludzi z pochodniami, których już niecierpliwy książę Miecznik ustawić kazał i posłyszał wołanie, powtórzone za księciem:

— Więzienia otwierać!

Dwóch różnych Miecznika dworzan wpadło do izby, krzycząc:

— Więzienia naosćcie! Książę czeka. Wypuszczać więźniów.

Kolibę wzięli we trzech i pchnęli do drzwi, jeden z nich wyrwał mu klucze, otwierano zamek, spuszczała się w głąb. Drżący klucznik palcem tylko drzwi ukazywał i dobierał do zamków klucze.

W dziedzińcu, gdy błysnęły pochodnie, gdy o tej niezwyklej godzinie ujrano księcia z Pacem i dworem swym, domysławiając się czegoś nadzwyczajnego, powybiegali ciekawi, okna się pootwierały, na ganki cisnęli się ludzie.

Odgadnąć nie umiał nikt, co się to robiło, lecz niepospolitego coś być musiało. Wolski, który, po powrocie, oplakawszy stratę swojego garnka i Wątróbki, siedział, niezbyt się nastroczając na oczy, wyszedł też spojrzeć co się to działo. Stał z boku.

Cichym był teraz i skromnym; czekał, ale Miecznik do niczego nie powoływał.

Oczekiwano dosyć długo.

Pierwszym, który się we drzwiach ukazał, był człek zgarbiony w kablak, na pół nagi, z brodą długą i włosami na plecach spadającymi. Rękami wyciągniętymi przed się drogę macał, słaniając się na nogach poranionych i bezsilnych. Wyszedł, otwartemi szeroko, bezzębnymi ustami chwytając powietrze — i, jak rażony niem, zakręcił się i padł.

Ludzie do niego podbiegli, ale gdy go podnieść chcieli — już nie żył.

Miecznik patrzył osłupiały, Pac się wzdygnął. Kazano pacholkom precz odnieść trupa, którego ręce, w dół zwisłe, sunęły się martwe po ziemi.

Zaledwie rozkaz ten wykonano, gdy druga ukazała się postać: mężczyzna ogromnego wzrostu, bosy, siemięgą dziurawą odkryty. Ten żywiej nieco stapał, choć chwiał się też na nogach, ale twarz miał do trupiej głowy podobną, wychudłą straszliwie, której kości wszystkie sterczały. Oczów zapadłych spod brwi zarosłych widać prawie nie było. Wyszedł, kląkł, złożył ręce, ziemię zaczął całować płacząc i — omdlał — ale zaraz go ocuciono.

Wskazał mu ktoś Miecznika, chciał iść dziękować — lecz Pac dał znak, aby go uprowadzono. Trzeciego dwóch ludzi prowadziło pod ręce; iść nie mógł, za piersi się chwycił i jęczał. Twarz jego, bez krwi, miała barwę ziemi.

Szli dalej mniej dawno zamknięci, silniejsi ludzie, podnosząc ręce i błogosławiąc księcia, i starsi, którzy bełkotali tylko, bo ich milczenie grobu mowy odczuło.

Wszyscy, wychodząc na to powietrze wiosenne, upajające, rzeźwiące, od którego odwykli byli, słaniali się — oddychać nim nie umiając. Jedni, natychmiast zebrawszy siły, próbowali precz iść, gdzieś, w świat, jakby w obawie, ażeby ich znówu do lochów rzucić nie kazano; drudzy płakali, modlili się, błogosławili i padali na ziemię, wołając wody lub chleba.

Widok był przerażający, straszny; najzimniejszego mógł on wzruszyć i do łez pobudzić. Ludzie patrzący płakali głośno; Miecznik stał nieruchomy, zadumany, mrużąc coś do Paca, który ręce do góry podnosił.

Wtem Mareyan przywiódł brata do nóg księcia, aby mu podziękował. Miecznik spojrział nań ciekawie i cofnął się. Dobył śpiesznie garstkę złota z kieszeni i wcisnął ją w rękę Damazemu, ale się na bruk posypała, bo Butrym wziął jej nie chciał.

Ledwie go poznać było można, tak rany i niewola straszne na nim cierpienia piętno wycisnęły; ale uśmiech już miał na ustach. Był wolnym, ocy jego zwróciły się ku oknom Faustyny, w których było ciemno.

— Chodźmy — zawołał Mareyan — potrzebujesz spocząć, pójsz do łaźni i poleż w łóżku. Bóg łaskaw. W okna nie patrz, Zaborskich tu już nie ma. Faustysia jednej godziny pozostać nie chciała, gdy jej wolno było iść ztąd. Zobaczysz ją jutro.

Ostatni, po wszystkich więźniach wyszedł Koliba, paść do nóg księcia, jakby go chciał o przebaczenie prosić; lecz Miecznik, któremu widok

tych męczenników już się naprzykrzył, zawrócił się, Paca pod rękę wzięwszy, i poszedł z nim na górę.

— Zapię, panie kochanku, potrzeba tę sprawę, bo mi w ustach gorzko, — rzekł do niego. Książę chorąży miał fantazyą nie lada!

Nazajutrz rano, w nowym dworku, Faustysia w oknie siedziała, zajęta robotą. Wtem przed oknem jej coś się przesunęło; nim głowę podniosła, nikogo już nie było, ale drzwi pierwszej izby otworzyły się i głos znajomy wesoło pozdrowił:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Robota wypadła z rąk dziewczynie, która z krzykiem wybiegła. Przed nią stał Damazy, blade, ze szramami na czole i twarzy, ale żywy i uśmiechnięty do niej.

Stara Zaborska z drugiej izby nadchodziła z krzykiem.

— Oto go macie! — rzekł Mareyan — dzięki Bogu, zuchwałstwo mi się powiodło i, com jego jednego miał wyprosić u Miecznika — wszystkich więźniów z nim razem puszczono. O! Jezu miłosierny! cóż to był za widok, gdy ci ludzie co już prawie chodzić nie umieli, znówu się na Boży świat wywlekli!

Miałem i tę radość duszną — dodał śmiejąc się Mareyan, że widział Wolskiego, jak skruszony, zdala, wylekły! spoglądał na te swoje ofiary. Nie będzie on tu długo popasał, bo mu powietrze nie posłuży.

— Tak, ale w Nieświeżu dadzą mu kawałek chleba pewnie.

— Z Bogiem! aby go tu nie było — zakończył Mareyan.

Stara Zaborska, która część swych ruchomości uratowała, myślała nazajutrz, korzystając z wielkiej łaskawości Miecznika, iść do niego, upominać się jeszcze o jakieś obietnice niespełnione, lecz córka i Damazy nie chcieli tego dopuścić.

Faustysia się zaprzysięgła, że grosza nie weźmie, któryby ztamtąd pochodził; musiała matka mrużąc zamilczeć, a pilnowano jej, aby kroku nie uczyniła, póki Miecznik był w Białej.

Mareyan, spodziewał się, że dla brata miejsce wyrobi u Sapiehów, a i sam, choć mu książę Karol chciał dać służbę u siebie, nie myślał się upominać o nią.

Damazys, zaledwie cokolwiek do zdrowia i sił przyszedłszy, począł o ślub nalegać; nie sprzeciwiała się stara, choć, gdy same pozostały z córką, powtarzała jej, wzdychając, że ona, z pięknoscią swą, mogłaby lepszą partycją zrobić.

— Gdy kto rozumu nie ma, — mówiła w duchu — trudno z nim wojować. Będą się kochali o suchym chleba kawałku, kiedy im z tem dobrze. I ruszała ramionami. Ona przynajmniej o siebie była spokojną, bo wszystkie klejnoty przez księcia dawane córce różnemi czasy, zabrawszy i pocichu je spieniężając, uciulała trochę grosza na starość.

Damazys natychmiast po ślubie zamyslał, jakiekolwiek miejsce sobie znalazłszy, w lasy gdzieś uciec i tam żyć spokojnie.

Ślub ten jednak, tak upragniony przez nich, musiał się przeciągnąć do jesieni, gdyż Butrymowi o papiery potrzebne ciężko się było postarać, a ksiądz bez nich ślubu dać nie chciał.

Martwili się tem Faustyna i Damazy — a Zaborska nie nalegała wcale na pośpiech, bo jej samej się zostać nie chciało, a może spodziewała się jeszcze, że się to małżeństwo rozchwieje.

Już wreszcie metrykę swą wydobył Damazys i na zapowiedzie dano, gdy jednego dnia, gospodarz przyprowadził posłańca z listem, dowiadującego się do Zaborskich, których próżno po całym szukał miasteczku.

Nim, dobywszy w płachtę zawiniętego papieru, mógł list pokazać, zapytał go przytomny Damazys — zkąd był?

— A z Chrzanówki! — rzekł.

Stara Zaborska się zbliżyła do niego.

— Przecież tego skąpca ruszyło sumienie!

List jednak, wydobyty, jak się okazało, z koperaty, nie do starszej pani był adressowany, ale do panny Faustyny Zaborskiej.

Rzuciwszy okiem na podpis, zobaczył Damazys,

że pochodził nie od Libiszewskiego, ale od regenta Woroszyły, zarazem exekutora testamentu s. p. Libiszewskiego.

Nie żył już dziedzic Chrzanówki i testamentem wioskę swą siostrzenicy przekazywał.

Starej Zaborskiej krew uderzyła do głowy, tak ją dotknęło to, że brat nawet na łożu śmierci jej nie przebaczył—choć, przynajmniej o córce nie zapomni.

—Niech mu Bóg nie pamięta!—szepnęła ściskając Faustysię.

Nie nie mówiąc i zostawiając je same, Damazy za czapkę wziął i wyszedł smutny.

Zaledwie się za nim drzwi zamknęły, gdy matka przypadła do córki.

—Toż-byś teraz głupia była, mając wioskę, za tego hołysza wyjść. Zapowiedzi nie nie znaczą: i od ołtarza się ludzie rozchodzą.

Faustysia spojrzała na nią.

—Matko—rzekła—ten człowiek kochał mnie, gdym nie nie miała, ja go kocham—i nie pójdę za nikogo innego. Teraz-by się pewnie kochało wielu dla wioski—ale ja nikogo znać nie chcę.

Poruszyła ramionami Zaborska.

—Co z tobą gadać? Jak sobie pościelesz, tak się wypisz. Ja ci powiadam, wiedział on dobrze, że ciebie wioska po wuju nie minie.

—Matko!—przerwała gwałtownie Faustyna.

Zaborska umilkła i wyszła do alkierza.

Damazy nie powrócił aż nazajutrz. Przyszedł posępny, zimny jakiś i siadł zdaleka.

—Panno Faustyno—rzekł—cóż teraz z nami będzie? Nie równa gra. Mnie, bodaj, nikt wioski nie zapisze, a na fartuszkę siedzieć ja nie chcę.

Dziewczęciu krew uderzyła do głowy.

—Chcesz, żebym się wsi zrzekła?—no—to rychlej to uczynię, niż się zrzekę ślubu z tobą.

Na chleb zapracujemy!

I rzuciła mu się na szyję, a Damazy do nóg jej upadł.

Faustyna się Chrzanówki nie zrzekła i Damazy na niej gospodarował. Szczęściem, stara Zaborska, choć młode małżeństwo odwiedzała, nie mieszkala u nich i pokoju im nie zakłócała, ale Szurskiej, która też w miasteczku ostatka dni dożywała, powtarzała codziennie:

—Głupia dziewczyna; mogła najpiękniejszą partycję zrobić. No, proszę ja jejmości, taki Butrym! Komu tu świat gubić! ale, niby to są szczęśliwi!

K O N I E C.

KLEFT

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

przez

Abrahama Dreyfuss

przekład z francuskiego M. Kostrowickiej.

OSOBY:

Henryk Grabernau,
Amelia, jego żona,
Filip de Laurians,
Klara, jego żona,
Antoni, lokaj.

(Rzecz dzieje się pod Paryżem).

(Scena przedstawia salonik wiejskiego dworu, w głębi drzwi oszklone, wychodzące na park. Drzwi na prawo; na prawo kanapka, na lewo okrągły stół, krzesła, fotele i t. d.):

Scena I.

Filip i Klara, potem Antoni

(Przy podniesieniu kurtyny, Filip i Klara siedzą w oddaleniu od siebie, Klara na kanapie, Filip przy stole, odwrócenie od siebie plecami, tak jak ludzie, którzy się gniewają. Cisza wielka; Filip patrzy na żonę kilkakrotnie, wzrusza niecierpliwie ramionami i nagle wstaje).

Filip

Jakże tu duszno! Czy nie czujesz? (Klara nie odpowiada. Filip otwiera drzwi oszklone; w tej chwili Klara zarzuca na ramiona chustkę koronkową. Filip widzi ruch jej i wraca z głębi sceny). Czy powietrze ci szkodzi? (cisza). Czas jest dzisiaj tak łagodny! (cisza ciągła). Bardzo łagodny! (Klara wciąż nie odpowiada, Filip idzie gniewnie w głąb sceny, bierze fuzyj, torbę myśliwską, bat i przygotowuje się do wyjścia).

Antoni (wchodzi trzymając kartę wizytową w ręku.

Proszę pana!

Filip (gwałtownie)

Co chcesz?

Antoni (zmieszany)

Nic proszę pana, ja..... ja..... myślałem, że mnie pan wołał.

Filip (wzruszając ramionami)

Głupiec! (wychodzi).

Antoni (przygląda się Klarze i po pewnym czasie mówi do siebie)

No?... no.... co to będzie dalej.

Filip (głos za sceną)

Trak, do nogi, dalej-że, ty, brzydkie zwierzę! (słychać uderzenia batem).

Antoni (do siebie)

No, teraz kolej przyszła na psa; każdemu się dziś coś dostanie! (Zbliża się do Klary, by jej oddać kartę wizytową, którą ciągle trzyma w ręku, ale po namyśle, kładzie kartę na tacy i w ten sposób ją podaje). Proszę pani!....

Klara (wstając)

Daj mi pokój!

Antoni

Ale proszę pani, to.....

Klara (zdenierwowana)

Mówię ci, daj mi pokój! (wychodzi szybko).

Scena II.

Antoni, potem Henryk i Amelia

Antoni (stoi na środku pokoju i mówi do siebie z rozpaczą)

Co za nieszczęście! Boże mój, co za nieszczęście! (Grabernau z żoną pokazują się w głębi sceny).

Henryk (do Antoniego)

Cóż mój chłopcze?....

Antoni (sposrzedgając go)

Ach! prawda! zapomniałem (oddaje kartę wizytową z zafrasowaną miną). Niech pan sam raczy oddać, bo ja nie mogę.

Henryk i Amelia (zdziwieni)

Co? Jakto?

Antoni

Nie mogłem!....

Henryk

Nie mogłeś oddać panu de Larians naszej karty wizytowej?

Antoni

Nie panie, nie mogłem. O, widzę ja, że pan nie znasz naszego pana!

Henryk

Jakto? Ja nie znam twego pana....

Antoni

Kiedy nasi państwo są w złym humorze, to się do nich zbliżyć nie można! (Amelia chce mówić, mąż wstrzymuje ją spokojnie).

Antoni (powtarza jeszcze, jakgdyby sam do siebie)

Nie można się do nich zbliżyć?

Henryk

Nie można się zbliżyć do pani de Larians?

Antoni

A tak. Tak pan, jak pani — wszystko jedno, jakgdyby ich wcale nie było.

Henryk

Ale gdzie pan jest?

Antoni

Pan?

Henryk

No tak, gdzie pan jest?

Antoni

Pan jest na polowaniu, a jak raz wyjdzie, to cały dzień nie wraca do domu, mianowicie wtedy, kiedy się państwo kłócą....

Amelia (żywo)

Ach, to oni się kł....

Henryk (wstrzymując ją)

Amelio!....

Antoni

Tak, tak proszę pani, kłócą się!....

Henryk (cicho do żony)

Czyż chcesz wypytywać się lokaja?

Amelia (cicho)

Nie, lecz chcę wiedzieć....

Henryk (poważnie)

Pozwól mnie to zrobić (głośno z powagą). Dobrze

mój chłopcze; zaczekamy tutaj na pana de Laurians.

Antoni

Jakto? państwo chcą czekać na pana?

Henryk

Tak jest.

Antoni

A jeżeli wróci w nocy?

Henryk

Zabawimy się przez ten czas z panią. Jesteśmy przyjaciółmi tych państwa.

Antoni

Tak....

Henryk

Tak. Jesteśmy przytem kuzynami. To ja z moją żoną wyswatałem tych państwa.

Antoni

Pan!.... ol!.... ol!.... (*drapie się w głowę*).

Henryk

Co?

Antoni

Nic.... Tylko.... Jakby to panu powiedzieć.... Pan już rozumiesz.

Henryk

Nie rozumiem nic.

Antoni

Tak?

Henryk (gniewnie)

Idź sobie, nudzisz nasz. Poczekamy tu na państwo.

Antoni

Skoro się tak panu podoba! (*do siebie*). Swat!.... oto mi właśnie pora pora dla swata.... Piękna rzecz, tak wyswatać.

Scena III.

Amelia, Henryk, potem Filip.

Amelia (*śmiejąc się*)

A już to ty wiesz jak należy, co czynić. Ty przynajmniej nie wypytujesz się sług....

Filip (*zły*)

Przecież musiałem mu powiedzieć: kto jesteśmy. Ale jeśli Filip wydał rozkaz, by nas nie przyjąć....

Amelia

Może być, ale swoją drogą źleśmy zrobili, to jest ja źle zrobiłam, że rozmowę tak skierowałam; ten głupi lokaj, wszystko nam wyspiewał.

Henryk

W rzeczy samej, więcej żądać nie można.

Amelia

Młode małżeństwo, które się bije!....

Henryk

Przecież lokaj tego nie powiedział....

Amelia (*zapewniając go*)

Ale z tego, co wiemy, można z pewnością wnosić, że się biją!

Filip (*ukazuje się we drzwiach, i staje zadziwiony*)

Achilles! Amelia!

Amelia

Jak się masz, kuzynie? (*postępuje naprzód ku niemu*). Jakto, nie pocałujesz mnie?

Filip (*ściska ją*)

Przepraszam cię!

Henryk

Jesteś zdziwiony? co?

Filip

Jestem zdziwiony! ale jakimże cudem?

Henryk

Wracamy z Włoch!

Filip

Z Włoch?

Amelia

Tak, zrobiliśmy małą podróż. Mąż chciał mi zrobić przyjemność.

Filip

Ależ to śliczna wycieczka!

Henryk

I przejeżdżając umyśliśmy wstąpić do was, ale, uspokój się, tylko na 24 godzin.

Filip

O, to za krótko, spodziewam się że dłużej was tu zatrzymamy. Ale jaką szczęśliwą myśl miałem, że powrócił, bo muszę wam powiedzieć, że byłem na polowaniu.

Amelia

Podobno, wybrałeś się na dzień cały?

Filip

Ach! to wam już powiedziano.

Amelia

Właśnie, przybyliśmy w chwili, gdyś odchodził.

Filip

A ten osioł Antoni, nie uprzedził mnie o tem!

Amelia (*łagodnie*)

Nie śmiał!

Henryk (*łagodnie*)

Możesz być nie w humorze?

Amelia (*przyglądając mu się ze smutkiem*)

Dokuczasz już biednej Klarze.

Filip (*krztusząc się*)

Jakto! więc wiecie?

Henryk

Wszystko! wiemy wszystko!

Filip (*zrywając się*)

O! tego już za wiele!

Scena IV.

Ciż sami, Klara, potem Antoni.

Klara (*wchodząc szybko*)

Czegóż to się dowiaduję?

Amelia

Ach, kochana kuzynko! (*całuje ją*).

Filip (*do Klary*)

Tak, tak.... udawaj zadziwioną!

Klara (*zadziwiona*)

Ja mam udawać zadziwioną?

Filip

Tak, jak i w tej chwili.

Henryk

Ależ mój przyjacielu!

Amelia (*do Klary*)

Zaszło nieporozumienie! (*do Filipa*) Nie zrozumiałeś nas!

Filip

A więc ktoś to objaśnił was o naszych przyjemnościach małżeńskiego pożycia?

Klara

Jakto?

Amelia

Ależ to nie ona!

Filip (*mówiąc dalej*)

W każdym razie nie masz pani czem się szczycić.

Klara (*wzruszona*)

Ależ to niegodne podejrzenie.

Amelia

Powtarzam ci raz jeszcze, Filipie, że Klara nie mówiła z nami wcale w tym przedmiocie. Dowiedzieliśmy się z boku. Wiesz przecież, jak łatwo takie rzeczy się rozchodzą i wtedy języki ludzkie nie próżnują.

Filip

Języki ludzkie! coraz to lepiej.

Grabernau (*cicho do żony, która mu dała znak, ganiąc co powiedział*).

Przecież mu trzeba wytłómaczyć!

Klara (*do Filipa*)

Czyż to moja wina, że służba nasza jest świadkiem twych gwałtownych wybuchów, twych namiętnych uniesień?

Filip

Bardzo piękny obraz pani kreślisz. Dodaj jeszcze, że cię biję.

Klara (*tragicznie*)

Łada chwila nastąpić to może.

Amelia (*do męża cicho*)

A widzisz!

Klara (*zanosząc się od płaczu, pada w objęcia Amelii*)

Ach kuzynko, kuzynko!

Filip

Teraz przyszła kolej na łzy! To rzecz zwykła.

Antoni (*który tylko co wszedł, mówi do siebie zrozpaczony*)

I teraz nie można dogadać się z niemi!

Filip (*żywo, spostrzegając go*)

Co chcesz znowu?

— Antoni

Nic proszę pana, nic (*odechodzi*).

Filip

A to cię. (*wołając go*) Gdzie idziesz? Po co odchodzisz?

Antoni

Ale proszę pana!

Filip

Chodź tu, mówię ci. (*Antoni się zbliża*) Czego chcesz?

Antoni

Przywieziono kufry z kolei i nie wiem co z niemi zrobić?

Henryk (*żywo do Antoniego*)

Niech je zabierają na powrót,

Filip

Jakto?

Henryk

Jedziemy zaraz.

Klara (*do Amelii*)

Oh nie! tej przykrości nie zrobicie mi.

Henryk

Ależ będziemy wam tylko przeszkadzać, bez żadnej dla was i dla nas przyjemności.

Filip

Dajno pokój! (*do Antoniego*) zanieście kufry do pawilonu.

Klara (*żywo*)

Do pawilonu? Ależ tam będzie im bardzo niewygodnie. (*do Amelii*) To rudera.

Filip (*wzruszając ramionami*)

Rudera! (*do Grabernau'a*) Kazałem go wyrestaurować przed sześciu miesiącami.

Klara

Niech lepiej zajmą pokoje na drugim piętrze.

Filip

Tam kominki dymią.

Klara

Przepraszam, nie dymią.

Filip

Mówię pani, że dymią!

Klara

A ja cię zapewniam, że nie dymią! (*Filip wzrusza ramionami niecierpliwie*).

Henryk (*łagodnie*)

Może kiedyś dymią, ale teraz już nie dymią.

Antoni (*zbliżając się*)

Gdzież mam kufry zanieść?

Filip

Spytaj się pani!

Antoni (*zwracając się do Klary*)

Proszę pani, gdzie mam....

Klara

Słuchaj rozkazu pana!

Antoni (*drapie się w głowę*)

Ach mój Boże!

Amelia (*cicho do Klary*)

Proszę cię, moja Klaro!....

Henryk (*do Filipa łagodnie*)

Filipie, lepiej-bys zrobił, gdybys nam pozwolił odjechać.

Antoni

Może kufry odesłać napowrót (*zwraca się do odejścia*)?

Filip (*woła za nim głosem rozkazującym*)

Zostań!

Amelia

Rozstrzygnę zatem sama tę kwestyę. (*do Filipa*) Czy pozwolisz, bym za ciebie wydała dyspozycyę?

Filip

O! z największą chęcią? Ty przynajmniej, kuzynko, wiesz zawsze czego chcesz.

Klara (*do Amelii*)

Słyszysz, moja droga, słyszysz jak mnie obraża?

Amelia (*do Filipa*)

Zostawiam cię kuzynie z moim mężem, Klara pomoże mi przy wypakowaniu kufrow!

Henryk (*do Amelii*)

Lecz duszko, my tu może będziemy tylko przeszkadzać.

Amelia (*wesoło*)

Nikt się tu ciebie nie radzi (*wychodzi z Klara*).

Henryk (*wracając do Filipa*)

Już to ja widzę, że jestem wam tu nie na rękę.

Filip (*rozdrażniony*)

Ach, daj-że pokój!

Henryk

No dobrze, dobrze, już nie wspomnę więcej o tem, choć czuję.... (*idzie w głąb sceny i spotyka się z Antonim*).

Antoni (*cicho*)

Widzi pan: takie to życie moje w tym domu!

Henryk

Co?....

Antoni

Mówię, że takie to moje życie, w tym domu; niech pan sam osądzi!

Henryk (*patrzy na niego, nie rozumiejąc*)

Jakie życie?

Klara (*wołając zza sceny*)

Antoni!

Antoni

Pani woła! (*do Grabernau*) Niech-no pan sam osądzi! (*wychodzi*).

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Czerwcu 1882 r.

Proces sensacyjny. — Wyścigi. — Wycieczki towarzyskie. — Stanisław Lukas. — Trudności urządzenia wystawy Sztuk Pięknych. — Popisy doroczne w zakładach wychowawczych żeńskich. — Reforma szkół. — Rozprawa emeryta profesora Tadeusza Kozłowskiego. — Wydawnictwo tanich książek dla ludu *Co to na wsi być może?* — Stowarzyszenie handlu wiejskiego. — Wiejskie straże pożarne. — *Zapiski ornitologiczne* Kazimierza hr. Wodzickiego: *Skowronek*. — Biblioteka „Mrówki”. — *Ostatnie lata dziejów powszechnych*, wydane przez Księgarnię Polską. — Odkryta pozostałość po Mickiewcu. — Zjazd techników polskich. — Zasklepienie Pełtwi. — Teatr.

(Dokończenie).

Z pierwszym braskiem wiosny, z pierwszą piosnką skowronka, wydał ulubiony nasz pisarz ornitologiczny Kazimierz hr. Wodzicki monografię tego wdzięcznego śpiewaka, którego piosnkę w błękitach niebios dźwięcząca tradycja ludu czci Najświętszej Panny Matki Boskiej przypisuje. Jest to już ósma z rzędu praca w szeregu *Zapisków ornitologicznych* hr. Wodzickiego, składających się na utworzenie żywego obrazu ptactwa naszego. Zapiski te mają i wartość naukową badań opartych na wprost z natury i życia czerpanych spostrzeżeń i wdzięk jasnego pełnego prostoty opisu. Wodzicki posiada swój odrębny sposób opowieści życia ptasiego, swój odrębny oryginalny a bardzo ujmujący, bo pozbawiony wszelkiego pedantyzmu formy, sposób wykładu wiadomości ornitologicznych. Podpatruje on z namiętnem zamiłowaniem i usilnością życie, zwyczaje, obyczaje, usposobienia i instynkta ptaków, za cel szczególniejszego badania obranych, i przedstawia nam je następnie z całą dokładnością w rodzajowym, z natury zdjętym obrazku. Na życie przyrody i nauki przyrodnicze pogląda on z wyższego, szlachetniejszego stanowiska i zakreśla im w sferze nauk zadanie orzeźwiającej i podnoszącej ducha ludzkości. Duch czasu dzisiejszy, powiada w przedmowie do niniejszej monografii, zdziera uczucie, mrozi poświęcenie, tępi poezyę i zaszczerpia w kryjówkach serc chciwość i chęć używania z hasłem: *każdy dla siebie*. „Nauki przyrodnicze, zgłębianie przyrody, obcowanie z nią, podnosi ducha do sfer wyższych, zagrzewa serca, napędlia duszę swobodą i w podziwieniu arcydzieł chwali Wszechmocność, której objąć i pojąć nie może umysł ludzki. Nauka przyrody jest obrazem piękna, wielkością, estetyczną, obrazem walki, lecz oraz i miłości; ona jadu do duszy nie dopuszcza, nie mąci prac umysłowych, a za-

grzewając uczucie, stwarza niezem nieograniczony podziw, wzbudza wdzięczność bez miary i granic. Kto tak pojmuje nauki przyrodnicze, i kocha przyrodę miłością z powyższych słów wiążącą, tak szczerze a serdecznie, niedziw, że jest jej wiernym historyografem i tak dokładnym badaczem. W ten sposób pojęte i odczute, nauki przyrodnicze stają się wręcz czemś przeciwnem, niżeli w ręku materyalistów, usiłujących odrzec przyrodę z jej ducha, z wszelkiego wdzięku i użyć następnie za podstawę swych doktryn. Słusznie też wytyka Wodzicki oschłość wykładu nauk przyrodniczych w naszych szkołach. Nikt się tam nie troszczy o rozbudzenie zamięłowania przyrody w umyśle uczniów, o ożywienie nauki, przez co nauka ta właśnie w każdym, jakimkolwiek przedmiocie staje się rzeczywiście użyteczną, bo wnika w pamięć, rozbudza myślenie i wszczepia wyższe jej zadań pojęcie. „Nauka przyrody, dziś wykładana młodzieży, przedstawia się, jako zimna anatomia, krajająca świat Boży na działły, odłamy, rzędy, gatunki i pokrewieństwa, powiada w dalszym ciągu swych uwag autor monografii o „Skowronku“, zostawiając w główkach pragnących ciepła, piękna i poezji, cyfry i zimne obrazy, gdyby to my książek. Złodowaciała nauka nie zakorzeni się w umysłach, nie przyjmie jej młoda pamięć, wymagająca ozdoby; zostaną działły i odłamy, gdyby oderwane skały w świecie spustoszenia; lecz pożytku one nie zostawia, ni dla sere, ni dla umysłów“.

Biblioteka Mrówki wzbogaciła się w ubiegłym półroczu znowuż kilkunastu tomikami doborowej treści. I tak, z działu poezji przybyło kilka obszerniejszych gawęd Syrokomli. Niema może poety, którego by utwory bardziej niż Syrokomli odpowiadały przeznaczeniu takiego wydawnictwa, jak „Mrówka“. Religijność, prostota dykcji, wyrazistość opisów, czynią poezję jego prawdziwie popularnemi. Gawęda Syrokomli zastępuje dzisiaj piosnkę Karpińskiego pod słomianą strzechą wiejskiego dworku, gdzie skrzętna „Mrówka“ znosi swe zapasy i składa na pożytek maluczkich. Obok Syrokomli wyszły w jej zbiorze równocześnie także *Fięśni nabożne Karpińskiego*, *Bajki Trembeckiego* i nieśmiertelnie świeży, nie wiem już w wielokrotnem powtórzonym wydaniu, *Wiesław Brodzińskiego*, zawsze ponętny swą prostotą i mile czytany. Z prozy *Biblioteka Mrówki*, zapełniająca się dawniej przeważnie beletrystyką, obecnie od niejalego czasu, zwróciła się głównie ku rzeczom historycznym, a w najnowszym jej ciągu znajdujemy przedruki dzieł Kołłątaja, Sniadeckiego, z nowszych pisarzów, a z dawniejszych, sięgających *złotego wieku* pisma Stanisława Żółkiewskiego, Jana Tarnowskiego *Zasady sztuki wojkowej* i t. d. Zwrot ten jest niezawodnie bardzo pożyteczny i pożądany; a szersze koła czytelników znajdują tutaj jedyną sposobność zaznajomienia się ze starszymi pisarzami, których dzieł nie można znaleźć w obiegu księgarskim, które zatem wielu czytelnikom nigdyby może inaczej pod rękę się nie nasunęły. Drukował je przed laty dwudziestu z górą Józef Kaz. Turowski w swej *Bibliotece polskiej*, wydawanej początkowo w Sanoku, później w Przemyślu i Krakowie, ale szacowny zbiór ten, pomimo że nie był dosyć systematycznie i umiejętnie prowadzony, w znacznej części wyczerpany został zupełnie, mianowicie seryje początkowe. Dobrze zatem czyni „Mrówka“, że odświeża pamięć tych dzieł, posiadających zalety stylu i myśli, którym z niejednego względu niedorówna literatura dzisiejsza. Zresztą i cena wydawnictwa „Mrówki“ jest bezporównania przystępniejszą od ceny Biblioteki Turowskiego. Dzieścię centów za tomik wyraźnym i dużym, niemęczącym oczu drukiem, to przecie dać warto i dać może każdy, kto choćby przy najszczuplejszych zasobach, łaknie umysłowego pokarmu i pożytek jego ocenia.

Oprócz rzeczy powyższych w „Bibliotece Mrówki“ wydała *Księgarnia Polska*, jako uzupełnienie wydanych przez tęż księgarnię przed kilku laty *Dziejów powszechnych* Slossera, *Ostatnie lata dziejów powszechnych*, od roku 1846 aż do dni dzisiejszych, w jednym dużym tomie. Jestto ciąg dalszy rozpoczętej przed laty kilku *Biblioteki historycznej*.

Mówiąc o literaturze, dodam jeszcze arcyważną i zajmującą dla całej czytającej polskiej publiczności wiadomość o nieznaney dotąd pozostałości po Mickiewiczu, której ślad okryty został przypadkowo ostatnimi czasy. Umarł przed laty w Łomży ks. Dzwonkowski, prefekt szkół tamtejszych, który za czasów Mickiewicza był profesorem historii literatury w Nowogródku i posiadał zbiór starannie z zamięłowaniem przechowywany poezji Mickiewicza z pierwszego okresu budzącej się twórczości młodzieńca, tudzież innych prac jego społecznych. Ks. Dzwonkowski uważał zbiór ten jako skarb pamiątkowy, a umierając oddał go ówczesnemu inspektorowi szkół łomżyńskich. Odszukanie tego skarbu, ukrywającego się przez lat wiele przed okiem świata byłoby rzeczą nader pożądaną, bo jeżeli wszystkie narody ucywilizowane czczą jako relikwie każdą myśl, najdrobniejszy szczegół, najmniejszą pozostałość po swych wielkich ludziach, odszukując i przechowując takowe z drobiazgową zapobiegliwością, z troskliwością do fanatyzmu posuniętą, czemuż i dla nas nie miałyby być równie drogą relikwią, wszystko co wyszło z pod pióra, wykwitło z myśli najwzięjszego z naszych geniuszów w każdej porze rozwijającej się jego twórczości? Biografią Mickiewicza, tak szczegółową, jakiej dotąd nie posiadamy, a mianowicie odszukiwaniem i sprawdzeniem odnoszących się do tejże najdrobniejszych nawet rysów i wiadomości, zajmuje się od dłuższego już czasu u nas x. Jan Siemieński bardzo skrzętnie. Gdy się dowiedział o owej pozostałości, przekazał przez s. p. ks. Dzwonkowskiemu, inspektorowi szkół łomżyńskich, powiodło mu się dzięki rozległej, w tym przedmiocie zawiązanej korespondencji i pomocy osób życzliwych, odszukać ślad posiadacza owego skarbu literackiego o którym mowa, i jest nadzieja, iż powiedzie go się odzyskać i oddać na własność publiczną.

W pierwszej połowie Września odbędzie się w Krakowie zjazd techników polskich, na który technicy tutejsi otrzymali już zaproszenie. Można też poczęści uważać Lwów za inicjatora myśli zwołania tego zjazdu, albowiem kilkakrotnie podnoszono w kołach tutejszych techników projekt zwołania takiego zjazdu. Krakowowi należy się za sługą podjęcia i wykonania projektu. Technicy wstępują w ślady przyrodników, lekarzy i historyków, których zjazdy peryodyczne pod względem naukowym pożądanym przynoszą owoc. Programat obrad zwołanego obecnie walnego zgromadzenia techników dotąd nie został ogłoszony; tyle tylko wiemy, że komitet przygotowywawczy zjazdu zamierza podobno wysłać kommissyą na wystawę przemysłową, która będzie otwarta już dnia 31 Sierpnia b. r., dla zbadania technicznego działu wystawy i przedłożenia umiejętnie skreślonego o niej sprawozdania zgromadzeniu. Przedmiotu zresztą do obrad nie brakuje. Szerokie tutaj nastroje się pole, tembardziej, że to będzie pierwsza sposobność spólnego w obszernem gronie porozumienia się o stanie nauk technicznych u nas, o kierunku prac naszych techników, o ich powołaniu i zadaniu, a wreszcie i o położeniu ich materyalnym. Jednym z przedmiotów na pierwszym planie obrad będzie zapewne reforma i ujednolnienie systematu nauk technicznych, ustalenie terminologii, a wreszcie rozbiór licznych nowych wynalazków, których tak wiele ostatnimi czasy postęp nauk technicznych na tem polu wywołał. Oprócz spraw ogólnych będą zapewne poruszone na zjeździe ważniejsze krajowe prace techniczne, które mają być wkrótce przedsięwzięte, jakoto regulacja rzek galicyjskich, budowa wodociągów w Krakowie, odnowienie Zamku Wawelskiego i t. p. Zwrócenie uwagi zgromadzenia na te przedmioty wywołałoby zapewne niejedną trafny pomysł, nastroczyło wiele spostrzeżeń, z których mogłaby następnie przy przeprowadzeniu robót skorzystać.

U nas, we Lwowie, ważną sprawą sanitarną jest zasklepienie Pełtwi, nad którym to projektem ma właśnie rozpocząć obrady kommissya techniczna z ramienia rady miejskiej ustanowiona. Jestto rzecz, nad którą oddawna już przemysłowano, ale brak funduszy zawsze nie pozwalał wykonania. Małą tylo częścią na przestrzeni od ulicy akademickiej wzdłuż hotelu Żorża zasklepiono przed la-

ty trzydziestu i na tem miejscu stworzono tym sposobem najpiękniejszy dzisiaj we Lwowie *Plac Maryacki*. Obecnie grono kupców tutejszych powzięło zamiar zawiązania w tym celu spółki i wniosło do rady miejskiej podanie o zezwolenie zasklepienia dalszego koryta Pełtwi aż do placu Gołuchowskiego, czyli teatralnego, pod warunkiem otrzymania koncesyi na zabudowanie następnie przestrzeni zasklepionej. Rada odrzuciła podanie z powodu, iż zabudowanie projektowane uszczupliłoby jedną z najpiękniejszych w swoim rodzaju przechadzek lwowskich, cienistą kasztanową aleję, zwaną *Wałami hetmańskimi*, przez pamięć owych czasów kiedy ciągnął się tędy forteczny wał miejski. Rada postanowiła starać się o zasklepienie koryta Pełtwi własnym kosztem, a uzyskanej ztąd przestrzeni niezabudowywać, jeno rozszerzyć w tem miejscu plantacye wałowe i przysporzyć tym sposobem miastu drzew i powietrza, którego nam tak bardzo potrzeba.

Muzy sceniczne przeniosły się z początkiem Czerwca na tymczasową siedzibę do teatryku letniego przy ulicy Majerowskiej, gdzie im wprowadzie ciśnień niżeli w gmachu Skarbkwskim, ale za to swobodniej i co w lecie wiele znaczy, chłodniej niż w uprzywilejowanym przybytku sztuki przy placu Gołuchowskich. Stało się to zaraz po wyjeździe Jana Królikowskiego, który przyjeżdżał tu z Warszawy na gościnne występy w Maju. Jeszcze przed laty jedenastu widział poraż ostatni publiczność tutejszą Królikowskiego za czasu dawniejszej dyrekcji Miłaszewskiego. Wrażenia gry jego pozostały głęboko wryte w pamięci naszej, przyjmowano go też z zapalem i serdecznie, a pożegnano życzeniem, aby znów, jak dawniej, Lwów częściej odwiedzał. Potrzeba też dzisiaj istotnie przyjazdu Królikowskiego, aby na tragedję lub dramat ściągnać publiczność lwowską i teatr zapełnić. Takie już czasy nastały. Afisz zapowiadający Shakespeare'a, Schillera lub Wiktora Hugo obojętnie się czyta i pozostawia pustki w teatrze. Miłaszewski zmuszony jest płacić haracz opaczemu temu smakowi publiczności, wymagającej tylko operetki, muzyki lekkiej, sutej wystawy, bogatych dekoracyj, licznych chórów, co wszystko dużo kosztuje, ale zato jest jedynym ratunkiem kassy teatralnej. Aby powetować poniekąd w innym kierunku te grzechy repertoaru, do których dyrekcją zmuszają okoliczności, i utrzymać zadanie sceny, stara się p. Miłaszewski wprowadzaniem i częstem powtarzaniem dobrze dobranych sztuk tak zwanych *ludowych* uczynić scenę krzewicielką oświaty i szlachetniejszych moralnych dążeń pomiędzy warstwami publiczności mniej oświeconemi, ale łaknącemi światła i lgnącemi do każdej pocziwej myśli, przemawiającej do serca i w zrozumiałej formie podanej. Zamiast dramatu i tragedji, które napróżno usiłował wprowadzić Miłaszewski w pierwszych chwilach po objęciu teraźniejszej swej dyrekcji, widzujemy powtarzane często wyborne ludowe sztuki Anczyca, Lasoty, Blotnickiego, Leopolda Starzeńskiego, Nestroja (w spolszczeniu zastosowaniem do społeczeństwa tutejszego). Jest to istotna zasługa Miłaszewskiego, której pożyteczności nie chcą wszakże uznać przeciwnicy jego, żądający od dyrekcji teatru rzeczy pięknych w teorii, ale niepodobnych do wykonania.

Władysław Zawadzki.

WYPRAWA DO TONKINU

przez

Dubarda

przekład z francuzkiego.

(Dalszy ciąg)

Po takiej uwadze zacny mandaryn wypił filiżankę herbaty, otarł usta dłonią, wychylił lampkę

szum-szum¹⁾, podrapał się w podeszew i zaczął myśleć o czym innym. Może też w głębi duszy nie był tak spokojnym, jak to na pozór okazywał, gdyż, podrapawszy się w podeszew powtórnie, co jest objawem nader naturalnym ze strony każdego Annamity, podrapał się jeszcze w głowę, co jest również rzeczą przyjętą w tym kraju, i pograżył się w zadumę.

Jak długo dumał, nikt tego powiedzieć nie może; to tylko rzecz pewna, że gdy wybory zegarek wodza barbarzyńców wskazywał godzinę wyznaczoną w jego odezwie, N-Huyen-try-fu nie myślał już o niej wcale.

Wówczas ci, którzy mieli szczęście należeć do liczby owych nierozumnych Francuzów, mogli przez trzy miesiące bez przerwy patrzeć na odgrywane się wypadki, w których sami biorąc czynny udział, narażali wprawdzie co chwila głowy, lecz też i bawili się niekiedy wybornie.

W wigilię dnia stanowczego uczyniono przygotowania do napadu na cytadelę, mającego się odbyć w godzinach porannych; wydano rozkaz wyruszenia przed wschodem słońca w dwóch kolumnach, mających równocześnie rozpocząć kroki zaczepne, skoro tylko znak danym będzie przez wystrzał armatni.

Tak się też stało. O piątej godzinie zrana, gdy jedna połowa Francuzów pod wodzą głównego naczelnika wyprawy okrążyła cytadelę, by natrzeć na bramę południowo-wschodnią, druga, prowadzona przez porucznika marynarki, kierowała się ku bramie południowo-zachodniej. Ta druga kolumna, składająca się tylko z trzydziestu ludzi i małej armatki polowej, stanęła o brzasku dnia przed szaniami cytadelli.

W cytadeli panowała zupełna cisza, zza murów tylko sterczało pik kilka, lecz nie słyhać było ani jednego strzału, niewiadać żadnego objawu nieprzyjawnego ze strony obleżonych; widocznie wszyscy jeszcze spali: najdogodniejsza pora do spróbowania szczęścia.

Trzebaby jednemu dostać się za mury i otworzyć bramę towarzyszą; trzydziestu ludzi staje natychmiast na ochotnika. Rozkaz dostaje pierwszy, który się wysunął z szeregu; zginie zapewne, ale mniejsza o to: nie zawahał się ani chwili i w parę sekund później — *audaces fortuna juvat*, — żelazne sztaby odsunięte, droga wolna!

Naprzód!

Ale nieprzyjaciół zbudził się wreszcie, i rozpoczęło się strzelanie. Należy teraz koniecznie zdobyć i drugą bramę, a nie przyjdzie to łatwo, gdyż brama jest z drzewa nadzwyczaj grubego i twardego, trzeba ją chyba bombardować armatnimi strzałami. Pięciu ludzi ustawia armatę w odległości dziesięciu metrów od wałów cytadelli, inni, rozrzucając w tyralierkę, sprzątają z zapalem nieprzyjaciela; każdy strzał francuzki trafia celnie w zbite masy obleżonych, a niewprawne strzały Annamitów nie przynoszą żadnej szkody rozsypałym pojedynczo prawie Francuzom. Wkrótce poważny głos armaty łączy się ze świstem kul szaspotowych i muzyką skałkowych rusznic; drzwi bramy padają w drzazgi pod godzącymi w nie bezustannie kartaczami.

Z tej strony już zwycięstwo zapewnione. Francuzi wpadają wyłomem do wnętrza cytadelli. Stosy trupów i konających zalegają przejścia; zwycięzcy, brodząc w krwi ścigają zawzięcie uciekających, ranni oddają broń bez oporu. Jakiś poważny mandaryn podaje swą złotem nabijaną szablę doktorowi chcącemu go opatrzyć. To stary N-Huyen-try-fu, jedna z najpierwszych ofiar pocisków naszych armat *podwójnie strzelających*, jak mówią w swym obrazowym stylu Annamici, zdumieni wybuchami kartaczów.

Francuzi, biegnąc, podnoszą broń nader cenną, porzuconą przez uciekających, piękne szable, strzelby z kolbami wykładanymi misternie srebrem i perłową konchą; każdy posiadał jakąś zdobycz; i tak, nie zwalniając kroku, przy odgłosie trąbek grających ciągle pobudkę do ataku, stają w miejscu oznaczonym, łącząc się z oddziałem nadciągającym od również już zdobytej południowo-

wschodniej bramy. I tam zwycięstwo odniesiono szybko i na szczęście bez żadnej straty w ludziach.

Szturm rozpoczęto o godzinie szóstej z rana, o ósmej zaś ta cytadella, mająca czterdzieści li obvodu, tak dobrze zbudowana, uzbrojona i zaopatrzona, ta cytadella broniona przez tak liczną załogę, była już w rękach tych przeklętych barbarzyńców, którzy w tak małej liczbie, stu nieprzechodzącej, mieli dziwną zuchwałość rzucić się na nią. O ósmej wielki marszałek, niegdyś tak spokojny i dumny, konał ugodzony kawałkiem żelaza, a trójkolorowy sztandar powiewający ze szczytu strażniczej wieży, ogłaszał *urbi et orbi* zwycięstwo Francuzów.

VIII. W cytadeli. — Gromady psów. — Słoń. — Zabieranie rzeczy. — N-Huyen-try-fu. — Stowarzyszenia i rozmaite dzielnice Hanoi. — Pagoda świętego drzewa. — Pagoda mąk piekielnych. — Uwagi. — Dzieło olbrzyma. — Zmiana położenia.

Jeżeli dzień zdobycia Hanoi obfitował w czyny bohaterskie, nie brakło też i faktów dziwacznych, do czego dodawszy galijski dobry humor, wybuchano niejednokrotnie śmiechem pomimo całej tragiczności położenia.

Annamici, niespodzianie i nagle napadnięci, zorganizowani przez łatwe nasze zwycięstwo, zjęci szalonym przerażeniem na widok padających lub pobitych wodzów, znikli gdzieś, jak cienie.

Natychmiast połączeniu się obydwóch zwyciężkich kolumn, złożono naprędce radę wojenną; obsadzono wszystkie bramy, wysłano pod wodzą officerów dwa oddziały liczące zaledwo po kilku ludzi z poleceniem zdobycia dwóch wiosek w pobliżu cytadelli, których posiadanie uznano za konieczne ze względów strategicznych; jak również wyznaczono patrole do krążenia w obrębie Hanoi.

Patrole znalazły wszędzie zupełne spustoszenie, i oprócz kilku jeńców ujętych z bronią w rękę, w których liczbie znajdowało się trzech czy czterech mandarynów i dwóch synów sławnego *Fang-tan-dzian*, o godzinie dziewiątej z rana nie było w całej twierdzy napozór ani jednego nieprzyjaciela.

Zato błąkała się moc niesłychana zwierząt domowych wszelkiego rodzaju, mianowicie psów, kur, kaczek, trzody chlewnej, a wszystko to latało wystraszone hałasem walki i nagłym zniknięciem swych panów. Szczególniej psów była ilość wielka, wtoczyły się wietrzak, każdy z uszami nastawionymi do słuchu, z zakreślonym ogonem, wyszczerzając zęby gotowe do kłosa i warcząc, pojedynczo lub gromadami wyszukiwały śniadania nader problematycznej natury.

Wówczas myśliwi mogli się oddawać szczególniejszego rodzaju łowom, w których psia rasa, zmieniając zwykłą swą rolę stawała się zwierzyzną. Nieciekawa zwierzyzna; lecz były to gromady dzikich zwierząt: należało ich się pozbyć conajprędzej pod grozą stania się w krótkim czasie ich pastwą. Zabito też masę biednych stworzeń i wyrzucono poza mury.

Oprócz psów i drobiu, nieprzyjaciół pozostawił jeszcze kilka bardzo ładnych małych koników, które bezzwłocznie zabrano, i pysznego słonia. Ten, opuszczony przez stróża, pozbawiony codziennej porcji ryżu, co go zapewne wielce dziwiło, wybrał się na poszukiwanie posiłku, krocząc po podworcach cytadelli z filozoficzną powagą, ale i niezadowolaniem zarazem.

Patrole, po dwugodzinnym krążeniu w obrębie murów, powróciły do głównego sztabu bez oznajmienia jednak jakiegokolwiek ważniejszej wiadomości.

Mieszkańcy cytadelli umknęli, lub też siedzieli ukryci w norach jak szczury; a chociaż, ogarnięci panicznym strachem, porzucili wszystko co tylko posiadali, można się było jednak spodziewać, iż prędzej lub później powrócą upomnieć się o swą własność, czy się zaś ukazały w postaci zaczepnej, lub też przybędą w pokojowym usposobieniu, nie mniej będzie to najście zagrażające porządkowi. Należało przewidzieć wszelkie możliwe wypadki i najpierw spróbować zjednania sobie ludzi, których obecność tak wewnątrz jak zewnątrz stanowiła bezustanną groźbę.

Tłumy, jeżeli nie mają w sobie uczucia patryotyzmu i zmysłu politycznego, rozwiniętego przez

używanie czas dłuższy swobodnej niepodległości, poddają się chętnie silniejszemu, pod warunkiem jednakże, iż zwycięzca nie pokusi się o własność prywatną. Dowódzca wyprawy francuskiej pojmował to doskonale; pierwszym też jego staraniem było obwieścić publicznie za pośrednictwem rozlepionych na murach proklamacyj, że: chociaż pragnął dla wspólnego dobra, aby cytadella „ostatecznie została opuszczoną przez mieszkańców cywilnych, jednakże każdy mógł powrócić dla zabrania swej własności, a nawet domu¹⁾, i że nikt nie będzie niepokojonym; nakoniec, że wojskowi pragnący służyć pod sztandarem sprzymierzonych ludów Zachodu, zostaną zaciągnięci do szeregu z otrzymaniem wyższej płacy, aniżeli ją pobierali od rządu annamickiego“.

Zaledwo treść proklamacji została rozgłoszoną, natychmiast jakgdyby cudem zaroila się tłumami cytadella; na wszystkie strony tłoczyła się masa mężczyzn, kobiet i dzieci, przybyłych po zabranie swej własności, pewna ich liczba wchodziła przez bramy, lecz największa część zdawała się zpod ziemi wyrastać; widocznie, wielu tych biedaków, straciwszy przytomność ze strachu i nie zdolawszy uciec, skryło się niewiedomo gdzie, oczekując nocy, aby pod jej osłoną przeskoczyć za mury, ryzykując nawet skrócenie karku lub utopienie się w fossach.

Wkrótce zaczęło się wyprowadzanie, z ruchliwością mrówek zaniepokojonych w mrowisku stopą przechodnia i przenoszących swe jajeczka na inne mieszkanie. Przez kilka godzin trwał zamęt i hałas niedoopisania, wreszcie z wolna zaczął spokój powracać, a o zachodzie słońca, o tyle już było cicho, że warty obsadzono tylko piechotą marynarki, majtków zaś odesłano na dawne leże. Noc przeszła bez żadnego wydarzenia; dni następnych badano okolice Hanoi i wykonywano ostatecznie mieszkania nasze wewnątrz cytadelli, która dotąd miała być główną kwaterą całej wyprawy.

Objęto w posiadanie magazyny, w których było pięć tysięcy metrów kubicznych ryżu, w skarbcu zaś znaleziono 100.000 franków w chińskiej monecie, kilka sztab lanego srebra i nieco złotych pieniędzy. Przy skarbcu postawiono straż; arsenał nieźle wcale był zaopatrzonym w amunicję i starą broń, a armaty z czasów portugalskich, strzelby skałkowe, zardzewiałe szable i inne wojenne rymstunki, niemniej odpowiedne, stały się przedmiotem nader pilnie strzeżonym.

Doktorzy wiele również mieli do czynienia, bo jeżeli nasza dobra gwiazda osłaniała nas od strzałów annamickich, to oni zato mocno ucierpieli; na placu boju pozostała znaczna liczba rannych, potrzebujących pomocy. Wielki marszałek był jednym z najciężiej ugodzonych; odłam granatu rozszarpał mu okrutnie bok cały, byłoby go jeszcze można ocalić, lecz cios moralny straszniejszym był dla niego, więc poprzysiął nie przeżyć swej hańby, skoro też doktor na chwilę odwrócił się, zrywał natychmiast opatrunek z rany i po długich katuszach N-Huyen-try-fu, *ojciec okolicy*, oddał wielkiego ducha na łono Buddy, wzywając zemsty niebios na głowy zwycięzców.

Ci zaś z pomiędzy nas, którzy ciekawi byli poznać zwyczaje miejscowe, zyskali szerokie pole do badań w tym kierunku; wkrótce bowiem zaludniała się napowrót cytadella wszelkiego rodzaju mieszkańcami: przekupnie, wyrobnicy, żołnierze przybywali, ofiarując swe usługi Europejczykom. Przyjęto pierwszych z radością, gdyż przynosili ze sobą ułatwienie życia materialnego; ostatnich zaciągnięto do szeregów, w przewidywaniu dalszych działań wojennych. Gromada wyrobników męskiego i żeńskiego rodzaju, pod wodzą porucznika okrętowego, pracowała nad urządzeniem dla nas mieszkań, oraz przeniesieniem do cytadelli amunicji i zapasów żywności. Ci pracujący przedstawiali niezmiernie ciekawy widok. Dozorca ich nie umiał ani słowa poannamicku; lecz u niego gesta zastępowały mowę; uzbrojony w olbrzymi kij, któ-

1) Powyższe pozwolenie nie było prózną gaskonadą, jakby o niem we Francji powiedziano; albowiem domy Annamitów, zbudowane z pali i mat bambusowych, dają się bardzo łatwo przenosić z miejsca na miejsce.

1) Wódka pędzona z ryżu.

rego jednak nie używał nigdy bez potrzeby, prowadził swą komendę z pruską iście akuracją. Gdy mu wieszano daru porozumiewania się ze swymi podwładnymi: — Oto mój słownik — odpowiadał, ukazując kij spoczywający pod lewem ramieniem. — Jeżeli mnie nie rozumieją, przekładam go z lewej ręki w prawą, to wystarcza. Długi czas ten słownik poręcznika pozostał przysłowiem pomiędzy uczestnikami wyprawy do Tonkinu.

Miasto Hanoi, miasto właściwe, nie wojskowe, posiada pewną cechę oryginalności; składa się ono z licznych dzielnic, zupełnie od siebie pooddzielanych bramami, które się zamykają natychmiast po zachodzie słońca. Każdą z tych dzielnic zamieszkuje fabrykanci, wyrabiający przedmioty jednego rodzaju, czyli członkowie jednego cechu, i nie wolno samowolnie żadnemu z nich przenosić gdzieindziej swych bogów domowych. Tym więc sposobem są całe ulice inkrustatorów, fabrykantów wachlarzy; obok nich mieszczą się wyrabiający pudelka; po nich następują szewcy, dalej krawcy, i inni, wszelkiego rodzaju, rękodzielnicy. Przemysł ich jest jeszcze w bardzo pierwotnym stanie, oprócz wyrobów inkrustowanych, gdyż tych doskonałość jest prawdziwie zadziwiająca.

(Dalszy ciąg nastąpi)

WIADOMOŚCI

Literackie, artystyczne i naukowe.

Nowe nakłady Gebethnera i Wolffa.

Na czele ich występuje *Fryderyk Chopin, życie, listy, dzieła* — przez Maurycego Karasowskiego. Warszawa, 1882, in 8-vo min. Tom I str. 270 i 2 k. nłb. Tom II str. 273 i 2 k. nłb. Jest to pierwszy życiorys wielkiego liryka fortepianowego w języku polskim, na miano życiorysu zasługujący. Tenże autor przed kilku laty jeszcze, pierwsi niemiecki niż naszą literaturę obdarzył obrazem osobistości i przegód życiowych Szopena i obecne dzieło polskie jest poprawionem i uzupełnionem wydaniem książki niemieckiej, z treści i charakteru swego znanej czytelnikom *Bluszczu*, sprawozdanie bowiem o niej zaraz po wyjściu podał J. I. Kraszewski. Pan Karasowski od dwudziestu lat już, jeśli nie dawniej, zajmuje się Szopenem. Przebywając jeszcze w Warszawie, na podstawie kilku listów mistrza z epoki młodzieńczej, skreślił w *Bibliotece Warszawskiej* (Tom IV, str. 1-squ) *Młodość Fryderyka Chopina*. Dalszy ciąg tej pracy wskutek nieszczęśliwych okoliczności ukazał się w temsamem czasopiśmie i pod tym samym tytułem dopiero w 1869 r. (T. I, str. 161 i 383). Dzieło obecnie wydane opiera się w części biograficznej na listach i innych bezpośrednich od Szopena i jego rodziny wysłanych świadectwach i prawdziwie źródłowym nazwać się może. Od czasu wydania książki niemieckiej przybyło panu Karasowskiemu sporo nowych wcale przedtem listów Szopena, ale nie odnalazły się już zniszczone w 1863 r., z epoki pobytu w Paryżu. Wzbogaciłyby one niezawodnie zasobnią biograficzną autora i pozwoliłyby mu w pełniejszych jeszcze rysach postać znakomitego rodaka naszego przedstawić. Książka czyta się z zajęciem. Do dziesięcioletniego okresu miłości dla p. Sand zebrał p. Karasowski listy Szopena do Fontany i ustawił je naprzeciwko świadectw znanych, bądź z pism samej poetki, bądź z innych źródeł. W dwóch ostatnich rozdziałach Tomu II znajdujemy ocenienie Szopena jako człowieka, nauczyciela i kompozytora. Żałować należy, iż autor sam nie dopilnował korekty; błędy w wydaniu jego książki przechodzą zwykłą miarę, do jakiej

nas już druki warszawskie i niektóre krakowskie przyzwyczaiły.

— Antoni Prochaska: *Ostatnie lata Witolda, studjum z dziejów intrygi dyplomatycznej*. Warszawa, 1882, 4 k. nłb., str. 346 i XXXII. — Pracowity wydawca łacińskiego zbioru dowodów do dziejów Witolda (*Serex epistolaris Vitoldi*) poświęcający się dziejopisarstwu XV wieku, zamieścił w latach 1880 i 1881 w *Ateneum* warszawskim szereg opracowań z epoki wojen husyckich i intryg krzyżacko-austriackich po Grunwaldzie. Obecnie te opowiadania i roztrząsania historyczne ukazują się w osobnej książce. Głównem źródłem dla p. Prochaski były przez niego samego zebrane i wydane listy Witolda. Na tej silnej podstawie autor opowiada nam z wielkimi szczegółami, ze szkodliwą nawet dla niezbędnego w rzeczach historycznych artyzmu drobiazgowością, tę część dziejów Polski, od traktatu na jeziorze Melnem, do śmierci Witolda (1422 do 1430 r.), która o potężną osobistość Wielkiego Księcia Litwy potraça. — Zamiarem autora, a raczej powinnością, jaką własny umysł jego spełnić musiał względem jego przekonani, było oczyszczenie brata Jagiellowego z podejrzeń, rzuconego przez Długosza, który ambitnemu a nie lubiącemu księży politykowi przypisał chęć zerwania unii. Powinność swoją pan Prochaska spełnił dobrze: dowody i rozumowanie jego przekonują o błahości zarzutu postawionego przez Długosza, a skwapliwie podpieranego przez poważnych nawet historyków. W duchu Długoszowej kroniki niedawno jeszcze p. Smolka postawił sobie pytanie: o czem marzył Witold po Grunwaldzie? i znalazł odpowiedź: o odstąpieniu Jagielly. Na innem miejscu już staraliśmy się wykazać wartość takiej historyografii, która mimo doskonałej metody i wybornej szkoły swojej, więcej z domysłów niż ze świadectw buduje; po obecnym studjum p. Prochaski nie sądzimy, aby można było jeszcze podnieść tęzę długoszową. — Witold chciał wprawdzie korony, ale chciał jej dla uśmierzenia zbolętej swej ambicji, nie wiązał się z nieprzyjaciółmi narodu bratniego, aby w nich znaleźć sojuszników; dążył do godności królewskiej, bo chciał zadośćuczynienia za politykę Szafranców, grożącą wywrotem stosunku horodelskiego. Dodać by można i dzieciństwo 80-letniego starca. Opowiadania swoje doprowadza p. Prochaska do śmierci Witolda. Czasami, w miejsce historyka widzimy przed sobą adwokata. Tak np. adwokackiem raczej niż dziejopisarzem wydaje nam się to, co autor mówi o przyrzeczeniu Połagi przez Witolda i oporze panów w Warcie zebranych, od str. 64 do 73-ej. Szczególniej rażą słowa wyrzeczone o królu na str. 71. Polityka panów względem Witolda była dzielna, silna i XV wiekowi powinszować jej należy. Jako umiętny wytwór pióra *Ostatnie lata Witolda* wiele do życzenia zostawiają. Młode pokolenie historyków, wykształcone na uniwersytetach Krakowa i Lwowa, liczy wespół siebie niejednego umysł wybitny, ale nie zdobyło się jeszcze ani na jednego prawdziwie wybitnego pisarza. Zasługi p. Prochaski, są głównie zasługami badacza, odkrywającego i oczyszczającego dowody historyczne. Taki kierunek jego umysłu wytyka mu właściwą drogę działalności; na tej drodze wypadałoby się utrzymywać. Wznoszenie wielkich budowli z faktów, wyprowadzanie przez rozum wielkich prawd historycznych i historyzoficznych, zamienianie życia dziejów na rozum dziejów: cała ta wyższa, ważniejsza, istotnie „historyków“ czyniąca, część dziejopisarstwa przedstawia tyle trudności, nawet przy mechanicznym nagromadzeniu, największych zasobach wiedzy, że tylko wyższe talenta ciężarowi jej podołać mogą.

Wydanie odznacza się błędami korekty, z których ani jednego drukarnia nie sprostowała.

— Władysław hr. Koziembrodzki: *Komedye jednoaktowe*. Serya pierwsza; zawiera:

Mile złego początki, Zawierucha, W jesieni, Po ślubie, Strój przyjechał. Wydanie nowe, przejrzone przez autora. Warszawa, 1882, in 12-o, str. III i 333, 1 k. nłb. P. K. przeznaczył utwory swoje dla teatrów amatorskich i teatru amatorskie też korzystać-by z nich powinny. Widzieliśmy grana przez amatorów *Zawieruchę*; przy miernym poziomie zdolności sztuczka ta wyszła dobrze w przedstawieniu. *Strój przyjechał*, drukowane niedawno w *Kłosach*, podobało się i na głównej naszej scenie komicznej. W ogóle autor mógł, nie tylko bez zarzumu, ale nawet z pewną skromnością, w przedmowie swej powiedzieć, że utwory jego doznały dość łaskawego przyjęcia. Atmosfera rodzima owiewa wszystkie te komedijki; widać w nich wszystkich nie robotę książkową, ale istotne, choć wyższego talentu nieujawniające, tworzenie. Według stawu grobla: komedijki p. Koziembrodzkiego towarzyską przedewszystkiem posługę spełniać mają. Przyzwyczajony, dobry ton, nawet elegancja z ucziwem zawoitość założeniem idą w parze. Dyalog toczy się w formach dla teatru niezbędnych; autor ma wprawę w wysławianie się sceniczne. Z dyalogu niekiedy i dowcip i szczery humor wybyśnie.

— *Rady dla młodych mężatek*; napisał D-r Jan Stella-Sawicki, inspektor szpitali w Galicji; wydanie drugie. Warszawa, 1882, in 16-o, str. 295 i 1 k. nłb. Użyteczne to dziełko, z bardzo przystępną formą łączy rozsądne wskazówki higieniczne i dyetetyczne dla kobiet zamężnych. Celem autora było oświecenie umysłów, które bez takiej oświaty lekcewałyby sobie muszą najważniejsze zadania zdrowia i życia. Śmiertelność między niemowlętami nigdzie tak wielką nie jest, jak u nas, i nie tylko u ludu, ale i w klassach tak zwanych wyższych; przyczynia się zaś do niej nieumiejętność wychowywania dzieci i niedbalstwo o własne zdrowie. Autor karci niewiasty za to, iż dzieci swych własną piersią nie karmią; za granicę dozwolonego niekarmienia przyjmują dla siebie zupełnie zdrowych rok trzydziesty piąty życia. D-r S. mówi i o moralnem wychowaniu dziecka i bardzo słusznie każe mu się zaczynać już w kołysce. Nie znajdujemy tu rzeczy nowych, ale spotykamy wiele częstego przypomnienia potrzebujących. Autor przeciwny jest pieszczotom używanym za środek do uspokajania dziecka i widzi w nich wczesne niebezpieczeństwo dla rozwoju charakteru. Dziecko nie powinno być zabawką dla matki: próżne wołanie! Wytyka autor niewłaściwość straszenia dzieci, środka wychowawczego, używanego szczególnie przez mamki i nianki. Osobny rozdział zajmuje się książkami najstosowniejszemi dla wieku dziecięcego. Podręcznik D-ra Sawickiego zasługuje na rozpowszechnienie.

Wszystkie wspomniane dotąd książki wyszły z drukarni Anczyca w Krakowie.

— *Na estradzie*, scena humorystyczna bez odslony, oryginalnie napisana. *Ach Panie!* nowy przekład z Gondineta, przez Maryana Gawałowicza. Warszawa, 1882, in 16-o str. 32. Pierwsza drobnotka prozą, druga wierszem. *Na estradzie* ukazało się poraz pierwszy w r. b. na wieczorze humorystycznym dla kas rzemieślniczych w Sali Resursy Obywatelskiej. Jestto urywek nieprezentalny, przez naczony dla p. Ostrowskiego, i nawet dla niego umyślnie napisany. *Ach Panie!* przedstawia w lekkiej, Francuzom właściwej, formie niebezpieczeństwo sznurowania córkom ust przez matki i musztrowanie ich z góry do bojów odpornych przeciwko mężczyznom w salonach. *Ach Panie!* sprowadziło właśnie to, od czego miało obronić małżeństwo.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 7-my powieści pod tytułem: *Droga do serca*.

TREŚĆ. Na Białskim Zamku, powieść historyczna, (dokończenie), przez J. I. Kraszewskiego. — Kleft (komedia), przez Dreyfuss'a. — Korespondencya zagraniczna, Lwów, (dokończenie). — Wyprawa do Tonkinu, (dalszy ciąg). — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 14 Юля 1882 года.